

Dr. I. Gluziński

Pędziszem na południe

x

Piacenza — upodobanie. U nas powiedzielibyśmy: cacko. Colonia Placentia nazwali Rzymianie w III wieku przed Chrystusem swą kolonię, mającą im w walce z Gallami zabezpieczyć przejście na drugi brzeg Padu. I dziś — z górą po dwóch tysiącach lat — włoska nazwa oznacza tę samą treść.

Już na kilka kilometrów przed miastem, gdy dojeżdżaliśmy od Pawii, krajobraz zmienił się zupełnie. Monotonna, jednostajnie zielona, pozbawiona drzew równina ustąpiła nagle miejsca łagodnym, niewysokim wzgórzom, a na ich ramionach rozpostarły się lasy liściaste i zamknęły horyzont od południa. U stóp tej zielonej zawory, zabezpieczającej miasto przed wrogiem, budowały w różnych czasach różne rody różne swe kościoły i pałace. Budowali Visconti, budowali Sforzowie, przez jakiś czas Piacenza była dzierżawą papieża, aż póki nie przeszła w ręce rodu Farnese, których konne posągi z XVII stulecia stoją do dnia dzisiejszego na piazza dei Cavalli.

Dziś już rano upał doskwiera. Kto zdecydował się w lecie na wycieczkę do Włoch, ten stałe musi zwalczać lenistwo, które kusi widokiem cieniostę schronienia. Poprostu musi wybierać między oglądaniem zabytków i rzeczy ciekawych, a dobre far niente w zacienionej kawiarni, gdzie czekają na człowieka północy znakomite gelati. W rezultacie kończy się zazwyczaj na zgłębieniu kompromisów: niebawie zwiedzanie styka się bezpośrednio z pośpiesznie łykany lodami, a granica między obu czynnościami po zostaje zatarta.

Wspaniałą katedrę, wzniesioną w XII wieku w stylu lombardzko-romańskim, oglądamy z przejęciem, zapomniałszy o upale. Kolumnienkami zdobne trasy, fasady, powyżej okno okrągłe o delikatnym rysunku, a wysoko w niebo strzela wieża dzwonnicy. Wewnątrz struktura gotycka, pełna wyniosłych kolumn, dźwigających dach. Na suficie freski Guercina.

Monumentalny Palazzo Gotico imponuje potęgą budowy. Zbudowany w XIII w. na cześć i chwałę dumnej signorii, tej reprezentantki swobód miejskich wobec rodziny książęcej, do dnia dzisiejszego mieści zarząd miasta. Ostre łuki jego podcieni przywodzą na myśl czasy walk, miętnych i bezlitosnych, między mieszczactwem, wyłaniającym z siebie signorię, a rodziną panującą.

Pora na dalszą drogę. Odtąd aż do morza wiedzie nas wspaniała Via Emilia, autostrada, przebiegająca ściśle szlakiem dawnej rzymskiej via Emilia, przetrasowanej po drugiej wojnie punickiej w II wieku przed Chr. na

północ od Apeninów dla użytku legionów. Z osobliwym wrażeniem mknie się samochodem po gładkiej nawierzchni, wspominając powolność, z jaką przed dwudziestu wiekami posuwali się tu żołnierze starożytnej Romy.

Na południe wzdłuż drogi w niewielkiej odległości towarzyszy nam łańcuch Apeninów. Tutaj łagodnością kształtów przypominają nam nasze zachodnie Karpaty, gdyby je ręka niszczycielska ogłociła z lasów. Raz bliżej, raz dalej ciągnie się pasmo obłych grzbietów w stronę Adriatyku.

Władek gna. Przez uliczki starodawnego Fidenzy, od rzymskich jeszcze kolonistów pochodzącej, przemknęliśmy bez zatrzymywania motoru. Średniowieczna, romańska katedra musnęliśmy jeno wzrokiem. Dwadzieścia kilometrów pędu wśród niekończących się sadów czereśniowych, strojnych w nieprzerwane węże winnej latorośli i wpadamy w szerokie, nowoczesne ulice Parmy. Zostawiamy auto na piazza Garibaldi.

Skwarne, letnie południe i miasto opustoszało. Wszyscy kryją się w domach, nawet zacienione kawiarnie puste. W oknach pospuszczano ciężkie, drewniane żaluzje, by się odgrodzić od słońca, które leje żar z nieba. Czasem nad głową rozlegnie się łoskot, jakby kilka cegieł leciało ci na głowę wprost z dachu. Podnosisz oczy, a czasem nawet odskakujesz instynktownie od ściany; ale to tylko ktoś wrócił do domu, przesłania okna i zaczyna południową siestę.

Doszliśmy już do szczytu tursury duchowej i samozaparcia. W południe nie jadamy lunch'u, nie odpoczywamy w cieniu, ale właśnie chodzimy po nasłonecznionych placach i ulicach i... zwiedzamy. Na złość słońcu, na złość włoskiemu latu, na przekór tym wszystkim, chroniącym się po domach za spuszczone żaluzjami, na przekór samym sobie zwiedzamy!

Któżby zresztą nie pragnął zobaczyć starej, romańskiej katedry z XII stulecia i przecudnego baptisterium, zbudowanego w murmurze? Pięć kolumnowych piersi nierównanej lekkości czyni z tego przybytku, gdzie udzielano sakramentu chrztu, jeden z najpiękniejszych pomników północno-włoskiego artyzmu.

Wracając do samochodu, oglądamy jeszcze wzniesiony na podobieństwo św. Piotra w Rzymie kościół „Madonna dell Staccata”. Władek wyprzedził nas trochę i zastajemy go przy wozie w rozmowie z jakimś jegomościem. O dziwo! Rozmawiają po polsku.

Przekonywujemy się, że chociaż włoska polska na naszym samochodzie zwabiła „rodaka”. Przedstawia się: dr. M...er. Nie podaje

całego nazwiska, bo pocóż mam zdradzać miejsce pobytu „rodaka”? Pan dr. M. jest lekarzem, który na stałe osiedlił się w Parmie. Zapewne w Warszawie, czy Lwowie odmówiono mu nostryfikacji zdobytego we Włoszech dyplomu lekarskiego, więc wyrzekł się ojczyzny, zaślepionej antysemityzmem i udało mu się uzyskać obywatelstwo włoskie. Może miał jakiegoś kuzyna w Rzymie lub w Genui?

Ale na widok polskiej chorągiewki i polskiego samochodu przypominały mu się pachnące uliczki północnej dzielnicy warszawskiej, czy iwowskiego Zamarynowa, zateśnił do wspomnień dziecińczych i nie wytrzymał. Choć parę słów pragnie zamienić w języku, którego tak często używał niedys, w tym północnym kraju, gdzie stała jego kołyska. Od lat nie miał sposobności posłyszec tej mowy.

Odpowiadamy mu uprzejmie na zapytania, bo taki dr. M., który wywodził na południe, jest dla nas zjawiskiem pożądanym. Z kolei on opowiada o niedoli człowieka, urodzonego na północy, gdy los go zmusił do spędzenia lata we włoskim mieście, gdzie nawet mieszkańcy uciekają w góry.

Już zajęliśmy nasze miejsce. Władek puścił w ruch motor. Ruszamy, żegnani przez dr. M. fascystowskim podniesieniem ręki.

Z nieciekawych ulic miasta wypadamy znowu na Via Emilia. Po dwudziestu kilometrach pędu mijamy Reggio Emilia, sześćdziesiąt kilometrów dalej, sprawiające na pierwszy rzut oka nowoczesne wrażenie. Bez zatrzymania gnamy dalej. Jeszcze około trzydziestu kilometrów jednostajną drogą i zatrzymujemy się w Modenie.

Upał już żelzał nieco, ale zato mamy dziś przed sobą daleką drogę. Chcemy dotrzeć jaknajbliżej morza. Niewiele czasu przeznaczamy więc na zwiedzenie dawnej siedziby książęcej. W myśl znanej piosenki francuskiej: „Si on n'a pas ce qu'on aime, on aime ce qu'on a” (W żydowsko-polskim przekładzie „Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”).

Znowu cudna katedra romańska z XII wieku, znowu fasada zdobna rzezbami i kolumnienkami, a na środku koronkowe, okrągłe, ogromne okno, wypełniające niemal całą przednią ścianę. Wnętrze znowu zapelniają kolumny i płaskorzeźby pokrywają ściany...

Obok wyniosła dzonnicca, króluje nad miastem. Na wysokość 102 metrów wiodą kręte, coraz bardziej ziewające się schody i żelazne drabinki. Ołbrzymie nisze po drodze. Pniemy się po ściętych wiekami stopniach aż na sam szczyt. Widok na miasto, na niziny rozległe nieskrępowanej

niczym. Ale powrót wymaga uwagi, bo łatwo ręka może ześlizgnąć się z poręczy, a noga nie sięgnąć następnego stopnia. Przyspieszona podróż po kamiennych schodach nie należałaby do przyjemności.

Jedziemy dalej, bo czas nagli. Już słońce potrochu chyli się ku zachodowi. Na szczęście znakomita autostrada umożliwia pośpiech. Władek dosięga 120 km.

Apeniny, które przedtem odsunęły się od nas, teraz znowu są blisko i od południa zamknęły równinę. Pędzimy ciągle wśród sadów i winnic i rzadka tylko ukaże się droga boczna, wyznaczona dwoma rzędami strzelistych topól. Czterdzieści kilometrów od Modeny przebywamy w wysięgowym tempie. Już przed nami widnieją mury większego miasta. To Bolonia.

Ku zgrozie Wiktora, który siedzi dziś na tylnym siedzeniu, mijamy wspaniałe starodawne gmachy bez zatrzymywania samochodu. Pilno nam do morza i do krótkiego choćby odpoczynku po długiej podróży. Ja i Władek znamy Bolonię, więc większość przeważa, jak zwykle w podróży, w której uczestniczą trzy osoby na równych prawach. Już Bolonia została za nami.

Zapada wieczór i oziła resztkami słonecznych promieni położyła wierzchołki Apeninów. Suniemy bezustannie wśród sadów. Do prawdy to otoczenie może się wreszcie sprzykrzyć. Czereśnie i łańcuchy winnej latorośli.

Mijamy małe i nieciekawe miasteczko Imola i dobijamy do starej Faenzy, od której wzięły nazwę wyroby fajansowe, z których to miasto zasłynęło w XV i XVI wieku. Tu kres naszej dzisiejszej wędrowki. Małemu hotelikowi przypadł w udziale zaszczyt goszczenia trzech przybyszów z Polski.

Pilno nam na obiad, bo przez cały dzień od śniadania rannego nie mieliśmy nic w ustach, jeżeli nie liczyć lodów i czarnej kawy. W restauracji hotelowej zwraca naszą uwagę jakiś starszy pan, noszący z dumą odznakę faszystowską. Opowiada swemu towarzyszowi, jak zdołaliśmy pojechać, o wrażeniach swoich z pobytu Mussoliniego. Mówi z takim zapalem, z tak widocznym przejęciem, że w jego słowach i gestach czuć szczerą duszę i niekłamany entuzjazm.

Dowiedzieliśmy się od kelnera, że Mussolini dziś właśnie bawił w przejeździe w Faenzę, witany przez tłumy, do których przemawiał. Załujemy, żeśmy się spóźnili. Nie spotkaliśmy go, bo pojechał w kierunku Florencji.

Po obiedzie idziemy na piazza Vittorio Emanuele do kawiarni na spresso. W kawiarniach tłukę (Dokończenie obok)

Zwierzęta w schronach

Alarm lotniczy w ogrodzie zoo ogicznym

Japonia jest pierwszym państwem, które pomyślało o zorganizowanej obronie ogrodów zoologicznych w razie ataku lotniczego. Wprawdzie w tej chwili Japonia prowadzi wojnę na obcej ziemi, nie mniej wewnątrz

kraju cały naród, na wszystkich odcinkach życia codziennego, przygotowuje się do obrony. Przede wszystkim dużą wagę kładzie się na przygotowanie całego społeczeństwa do czynnej i biernej obrony przeciwlotniczej. Nie zapomniano nawet o ogrodach zoologicznych, które posiadają bardzo wartościowe okazy.

Przeprowadzono tam szereg ćwiczeń, mających na celu przeszkolenie personelu jak ma się zachowywać w czasie ataku lotniczego. Ćwiczenia te nie były łatwe, gdyż dla bardzo wielu gatunków zwierząt trzeba było szukać specjalnych metod, któreby pozwalały szybko je z miejsc otwartych skierować do podziemnych schronów, w jakie już zaopatrzone zwierzęce w Tokio i Osaka. Gdy ustalono sposoby szybkiego chwywania zwierząt, rozpoczęły się praktyczne ćwiczenia, a następnie pokazy publiczne.

Czaple, bociany, żurawie są zape-

dzane do schronów wysokimi płotami z mat, które personel pierścieniem posuwa ku ptakom, coraz więcej je zwięzając, aż przybliży się z nimi do otworu schronu.

Dzika świnia pozornie dająca się łatwo przenieść, musi być schwytana w mocne sieci, a potem przetranslokować do schronu.

Aligatora chwytają linami, okręcając go następnie około deski, do której wiąże się go mocno, przenosząc już spokojnie do schronu. Jest tak obojętny, że ani ludziami, ani zwierzętami nie może nic z niego zrobić. Celem schwytania antylopy, personel ćwiczony jest w rzucającym lassem, gdyż regulamin alarmowy przewiduje, że muszą one być schwytane lassem dla pośpiechu, a następnie dopiero bezpiecznie ułokowane.

Ma też regulamin i krwawe punkty. Oto takie okazy jak lwy, tygrysy i t. p. muszą być, w myśl instrukcji tego regulaminu, zastrzelone momencie, gdy grad bomb zaczął spadać. Wówczas nie ma czasu żalowanie zwierząt, a zniszczenie klatek umożliwiłoby wydostanie się na wolność dzikich bestyj, które mogłyby stać się groźne dla ludzi.

Kanał amsterdamski trzecim kanałem świata

Rozpoczęte przed kilkoma laty prace nad pogłębieniem i poszerzeniem kanału, łączącego port amsterdamski z Morzem Północnym dobiegają końca.

Kanał ten, długości przeszło 20 km, zamknięty jest od strony morza kilkoma śluzami, z których jedna jest największa w świecie. Szerokość kanału na zachód od Hembrug (Zaandam) wynosi obecnie: u brzegów 160 m, szerokość dna zaś 75 m. Dawniejsze wymiary były 110 i 50 m. Głębokość wynosi 13 m, przed tym 10,30 m.

Jednocześnie zbudowano drugą przejazd dla statków pod Hembrug. Na liście wielkich kanałów świata — Kanał Północno-Morski znajdował się pod względem szerokości i głębokości na trzecim miejscu po Kanale Sueskim i Panamskim.



Fragment wielkich ćwiczeń artylerii górskiej w Czechosłowacji

my. Plac rzęsiście oświetlony, miły chłodek po całodziennym upale zwałbił mieszkańców. Wzdłuż całego placu olbrzymi, renesansowy pałac o dziesiątkach kolumn, a przy samej kolumnadzie umieszcza się orkiestra. Grają jakiś dawny marsz faszystowski, a publiczność stoi uroczyście. Zamilkły nawet rozmowy. A teraz

„Giovinezza” i znowu wszyscy na baczność, mężczyźni i kobiety. Jakże młoda panienka, siedząca z rodziną przy sąsiednim stoliku, przetrwała słuchanie hymnu krótką uwagę. Trzeba było widzieć burzony wzrok, jakim zgromił ojciec.

Dziś przez Faenzę przejeżdżał Mussolini!

B. HOFMANN

18)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przenieszone na licytację, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

— Nie — uśmiechnął się. — Zresztą, jeśli masz kłopoty pieniędzy...

— Dziękuję ci bardzo — przerwała. — Wprawdzie niewiele przywiozłam, bo wiesz, ograniczenia dewizowe... ale powinno wystarczyć. Powiedz mi lepiej, czy masz dużo czasu?

— Dziś, czy w ogóle?... — roześmiał się. — Przepraszam za głupie pytanie! Wycygańnię miał urolop i możesz mną rozporządzać dowolnie w ciągu całego tygodnia.

— Jesteś bardzo miły — odparła z uśmiechem.

Jechali nad kanałem, wzdłuż brzegów były gdzieś niedzicie związane szerokie łódzie.

— Śliczne miasto — dodała. — Gdybym mogła, jeździłabym całe życie. Nigdzie nie czuję się tak dobrze, jak w podróży.

— To samo myślałem odbywając pierwszy rejs.

— Ty masz bardzo ciekawy zawód, Heniu. Ciągłe nowi ludzie, nowe kraje...

— Już zapominałem, kiedy tak było. Halu. Teraz jestem jak konduktor w pociągu — stale odbywam tę samą drogę. Bardzo jednostajne i nawet nudzące zajęcie.

— Czy pływałeś kiedykolwiek z wujem Kai? — zapytała nagle. — Zdawało mi się, że służyliście w jednym towarystwie okrętowym.

— Tak, ale to było dawno i trwało krótko. Zrobiliśmy razem kilka kursów na australijskim statku „Melbourne”. Wtedy jeszcze byłem początkującym marynarzem, trzecim oficerem.

Takśówka zatrzymała się przed hotelem. Orda wziął klucze od pokoju, który zamówił uprzednio, pchłszy przypadkowo wzrok kuzynki, spoglądającej na wspaniałą, bogatoumeblowaną hall i wprowadzając pannę Malinowską do windy, rzekł uspokajająco:

— Nie bój się! Trzy i pół guldena z pierwszym śniadaniem.

Pokój był na czwartym piętrze i mały, ale miał bieżącą wodę zimną i gorącą i telefon.

— Odpocznij porządnie, przyjdę po ciebie przed szóstą — powiedział Orda. Pocałował jej dłoń i wyszedł.

Panna Malinowska wykpała się, kazała pokojówce obudzić się o wpół do piętej, położyła się do łóżka i po chwili zapadła w kamienny sen.

Przed szóstą rozległo się pukanie w drzwi.

— Proszę!

Do pokoju wszedł Orda.

— Dobry wieczór, Halu! No, jak się czujesz?

— Doskonale! Wypałam się, odpoczęłam... Nie, dzięki — teraz nie będę naliła. Przeknam się, że jestem trochę głodna

— Zaraz zejdziemy na dół do restauracji.

W windzie popatrzył uważnie na kuzynkę.

— Teraz widzę, że w Polsce kobiety naprawdę umieją się ubrać.

Roześmiała się.

— Skąd tyle doświadczenia w tym kierunku?

— Stale nowi ludzie... Mówię ci, że na krótkim szlaku między Anglią a Holandią czuję się jak konduktor w pociągu. Nawet gorzej, bo na okręcie oficerowie muszą siedzieć do stołu wraz z podróżnymi i bawić ich rozmową. Dość się napatrzyłem, zwłaszcza na kobiety, które przy każdej sposobności urządzają na statku rewie mody.

Wybrali stolik, zamówili potrawy. Orda kazał podać flaskę czerwonego burgunda.

— A teraz opowiadaj, co tu zaszło w ciągu ostatnich paru dni — podjęła panna Malinowska. — Czy byłes w Riuszu, czy licytacja doszła do skutku i jak się w ogóle przedstawia sprawa.

Orda spoważniał. Zapalił papierosa i zaczął mówić:

— Byłem u Reutera i Zeelanda. Okazało się, że twój szef telefonował do konsula polskiego, który zwrócił się z kolei do obu notariuszy z prośbą, by się zajęli twoją sprawą i możliwie prędko ją załatwili. Testamentu nie widziałem, oczywiście, ale wywnioskowałem ze słów Reutera, że ty masz największe prawa do spadku. W każdym razie otrzymasz na pewno Amstelkroog. Nie wiem, co wuj Kai oprócz tego pozostawił. Zdaje się, że są jakieś pieniądze, ale sądzę, że jest ich niewiele. Zresztą, sama się dowiesz jutro szczegółów. Licytacja została przerwana w najciekawszym momencie. O tym muszę opowiedzieć dokładniej, bo to było rzeczywiście niezwykle zdarzenie. Czy słyszałaś o istnieniu tak zwanej kroniki rodu Amstelkroog?

(D. c. n.)